

Stawik, Marian

Jak zostałem redaktorem i wydawcą prasy podziemnej

Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego 12/3, 401-408

1973

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MARIAN STAWIK

JAK ZOSTAŁEM REDAKTOREM I WYDAWCĄ PRASY PODZIEMNEJ

Z okolic Radomia wróciłem już nie do Ostrowa Wielkopolskiego, ale do Ostrowo Posen (Warthegau). Kilka dni pobytu w domu po powrocie z przymusowej, samotnej „ucieczki” przed najazdem hord hitlerowskich pozwoliło przywrócić mi jaką taką równowagę psychiczną.

Pożyczone wcześniej Edwardowi Niesobskiemu radio odebrałem latem 1941 r. Wówczas Niesobski zaproponował mi, abym wspólnie z Henrykiem Bigosiem (urzędnikiem magistratu) podjął się wydawania tajnych gazetek. Maszyna do pisania znajdowała się u H. Bigosia. Współpracę podjąłem. Wrzesień 1941 r. dał początek wspólnej pracy wydawniczej. Codziennie od godziny 21 w mieszkaniu moich rodziców przy ul. Żółkiewskiego 26 (Deutschweilerstrasse) rozpoczynamy nasłuch. Kończymy go o 2 po północy. Do godziny 4 nad ranem mieliśmy już opracowane wiadomości w brudnopisie. Z domu wychodziliśmy przed 6 rano po krótkiej drzemce, niby do pracy, zaopatrzeni w „Arbeitskarte” firmy budowlanej Adamek. (Firma niemiecka istniejąca od dawna na terenie miasta przy ul. Odolnowskiej.) Firma ta sprzyjała Polakom. Ratowało się w niej, za zgodą i wiedzą właściciela i jego syna, wielu zagrożonych obywateli miasta lub przebywających z konieczności na jego terenie. Wracaliśmy do miejsca zamieszkania H. Bigosia przy ul. Szpitalnej 29. Po krótkim odpoczynku, przeplatany niekiedy cichymi akordami melodii wygrywanej przez H. Bigosia na pianinie, przystępowaliśmy do pisania na maszynie komunikatów w ilości 30—40 egzemplarzy, przeważnie dwustronicowych. Na maszynie pisał H. Bigoś. Dzień 11 listopada 1941 r. uczciliśmy specjalnym wydaniem. H. Bigoś opracował około dziesięciostronicowy maszynopis, obejmujący temat „Brześć i Bereza Kartuska”, ja natomiast opracowałem komunikaty radiowe wraz z komentarzem z całego tygodnia poprzedzającego 11 listopada. Całość w ilości około 20 egzemplarzy oprawiliśmy w biały bryistol. Na tytułowej stronie okładki namalowaliśmy skrzyżowane dwie biało-czerwone flagi narodowe. Dziurkowania przewiązaliśmy

biało-czerwonym sznurkiem. Żadnego z tych egzemplarzy nie udało się odnaleźć i zachować. Jednego egzemplarza, przekazanego p. Reszelskim przy ul. Sowińskiego, prawdopodobnie zamurowanego przez panią Reszelską, też nie odnaleziono.

Drukowane gazetki do rejonu Krępy prznosił, zwykle w dzbanku od mleka, emerytowany już nauczyciel Hugon Bombicki. Często przynosił do domu ekwiwalent w postaci chleba, wędliny. W ten sposób pomagał sobie i rodzinie, nie mając innego sposobu zarobkowania. Mieszkał razem z H. Bigosiem i jego rodziną. Teren Fabryki Wagonów obsługiwał Kazmierczak. Trzecią część gazetek zabierałem ze sobą na teren dzielnicy Zacharzew. Obsługiwałem ją sam. Odczuwaliśmy brak papieru do pisania na maszynie. Pewnego jesiennego popołudnia weszliśmy do dawnej księgarni Adama Michalaka przy ul. Gimnazjalnej 19 (narożnik ulicy Staszica i Gimnazjalnej, naprzeciw Gimnazjum Męskiego). W tym momencie nie było w sklepie nikogo z kupujących. Był sam Adam Michalak. Poprosiliśmy go o 5000 ark. papieru do pisania na maszynie. Wyraził zdziwienie, bowiem papier ten nie był sprzedawany dowolnie. Podkreślił, że z naciskiem potrzebę zakupu papieru, nie ujawniając jego przeznaczenia. Nie znał nas. Mimo to kazał przyjść po południu po jego odbiór. Dotrzymał słowa. Zrozumiał nas. Papier opłaciliśmy z własnej kieszeni. Bez tej pomocy nie moglibyśmy dalej drukować. Zapas papieru wystarczał nam teraz na kilka miesięcy. Trzy paczki papieru zabrałem do siebie, dwie pozostały u H. Bigosia, podziału dokonaliśmy z uwagi na grożące zawsze niebezpieczeństwo.

Mnie udało się jeszcze nie pracować dzięki pomocy, jakiej udzielał naszej i nie tylko naszej rodzinie Lenartowicz przez systematyczne i bezinteresowne dostarczanie kartek żywnościowych. Pracował on w biurze żywnościowym (Ferpfligungsamt). Korzystał również z komunikatów.

Brudnopisy komunikatów prznosiłem za koszulą na piersiach lub na plecach. Pracowaliśmy tak dzień w dzień bez wytchnienia. H. Bigoś sugerował czasami potrzebę zabezpieczenia bytu materialnego przez wyznaczenie pewnej opłaty za otrzymany egzemplarz. Nie byłem przekonany do tej propozycji, mimo iż wiedziałem, że pieniądze były mu potrzebne. Niestety tymczasem zaszły nieprzewidziane zmiany.

Drugiego lutego 1942 r. przerwałem współpracę z H. Bigosiem na skutek nieporozumienia, które wydarzyło się tego dnia w jego domu między nim a H. Bombickim. Z tego okresu nie pozostał żaden komunikat.

Nie czyniłem już żadnych starań, aby kompletować zespół. Postanowiłem samodzielnie rozpocząć i kontynuować pracę wydawniczą. Przemawiały za tym racje społeczne i bezpieczeństwa. Do dyspozycji miałem radio i 3000 egz. papieru do pisania na maszynie. Miałem również do dyspozycji hektograf. Poprzednio wykorzystywany był do odbijania pieczęci na potrzebnych niezwłocznie dokumentach. Nie trudniliśmy się tą

działalnością stale, raczej przypadkowo. Powstał przede mną problem zdobycia w możliwie krótkim czasie maszyny do pisania. Odwołałem się do zaufanych mi druhów z zastępu. Po niedługim czasie Czesław Jaś i Czesław Nowicki dostarczyli mi maszynę starego typu. Marki maszyny nie pamiętam, „Mercedes” albo „Remington”, była przy tym mocno zużyta. Nie miałem wyboru. Wierzyłem, że i przy pomocy tej maszyny uda się utrwalić wiadomości i puścić w obieg. Musiałem się śpieszyć. Niepojawianie się gazetek w następnych dniach wywoływało zrozumiałe zaniepokojenie, a z drugiej strony zniecierpliwienie wśród dotychczasowych odbiorców, nawet tych, którzy czytali je pośrednio. Wtedy zrozumiałem, jak bardzo potrzebne jest szybkie uruchomienie wydawnictwa gazetek. Mówiąc bez przesady, powstał głód wiadomości, silniejszy od fizycznego. Próby przekonania mnie o potrzebie ponownego wydawania gazetek w poprzednim składzie odrzuciłem zdecydowanie i nieodwracalnie. Kierowałem się głosem wewnętrznym, intuicją. Byłem niezmiernie wyczulony na drobne nieraz nieprawidłowości, szczególnie w sytuacjach, kiedy konieczne jest powodzenie w działaniu. Starłem się zawsze wypadki wyprzedzać, przewidywać. Ten stopień uwrażliwienia był mi zawsze drogowskazem w dalszej działalności wydawniczej i konspiracyjnej.

Wspomniany wyżej hektograf przystosowałem do powielania. Wymontowałem drewniane wałki wraz z nawiniętą na nie masą galaretkową i spaliłem. Pozostałą skrzynkę z pokrywą wykorzystałem do skonstruowania powielacza. Potrzebną siatkę o bardzo drobnych oczkach dostarczył mi druh H. Nowak. Próba z siatką dała wspaniałe wyniki. Po zmontowaniu siatki z ramką i połączeniu z dolną częścią skrzyni hektografu otrzymałem gotowy do pracy powielacz. Zakupiłem czarną farbę powielaczową w tubkach oraz woskówki. Mogłem już przystąpić do drukowania gazetek. Przygotowywanie powielacza i organizowanie możliwie bezpiecznych warunków pracy do nasłuchu i drukowania gazetek trwało prawie miesiąc. W okresie przygotowawczym udało mi się opracować i wydrukować kilka egzemplarzy gazetek poza domem. Wykonałem je na maszynie i powielaczu żandarmerii niemieckiej. Udostępnił mi je H. Nadolski, zamieszkały przy ul. Zdunowskiej 1. Charakter jego pracy w żandarmerii zezwalał mu przynosić maszynę i powielacz do domu. Zналиśmy się dość dobrze. Z jego młodszym bratem Tadkiem chodziliśmy do jednej klasy gimnazjalnej.

W pierwszych dniach marca rozpocząłem pracę redakcyjną i wydawniczą. Nie mogłem zdecydować się na ustalenie tytułu gazetki. Nie z braku koncepcji, ale dlatego, że nie miałem nigdy przekonania do tytułów sloganowych, bez pokrycia. Wiedziałem z doświadczenia, że czytającym zależy przede wszystkim na treści przekazywanych wiadomości. Mieli większe zaufanie do konkretnego, sprawdzalnego słowa. Tytuły w tym czasie były zawsze niebezpieczne. Pozostawiały ślad i łatwo dekonspirowa-

wały organizacje. Przyznam się, że nie sprostałbym zobowiązaniu, jakiego wymaga każdy tytuł mniej lub więcej reprezentatywny. Przyjąłem i pozostałem przy bezpretensjonalnych „Wiadomościach”. Moją przynależność organizacyjną zaakcentowałem na kilku zaledwie egzemplarzach wieloznacznym harcerskim hasłem „Czuwaj”.

Nasłuch, jak poprzednio, prowadziłem od 21 do 2 po północy. Jeżeli warunki pracy pozwalały i zmęczenie nie zmuszało do szukania odpoczynku, brudnopis wiadomości miałem gotowy do godziny 4 rano, póki wiele szczegółów zachowałem w pamięci. Łatwiej odczytywałem skróty, którymi się posługiwałem. Po odpoczynku pisanie na woskówkach rozpoczynałem między godz. 9 rano a 12 w południe. Zwykle do godziny 14 miałem już komunikaty powielone. Miałem duże trudności w pisaniu na maszynie. Przedtem na maszynie w ogóle nie pisałem. Drukowałem i powieliałem przeciętnie 30 do 40 gazetek dziennie, dwu- lub trzy- stronicowych, wyjątkowo czterostronicowych.

Skompletowane po wysuszeniu egzemplarze przygotowywałem dla kolporterów. Byli nimi harcerze mego zastępu — Czesław Jaś, zamieszkały przy ul. Koszarowej 4, Czesław Nowicki z tej samej ulicy, nr 6. Mieszkałi prawie w centrum miasta. Potem Henryk Nowak, zamieszkały przy ul. ks. Skorupki 23 (dzielnica Zacharzew). Czasami kolega Andrzej Chudziński, zamieszkały z rodzicami przy ul. Wrocławskiej 33. Parę razy u niego w domu wypadło mi kompletować komunikaty. W mieszkaniu jego rodziców słuchałem trzykrotnie tajnie odprawianej mszy św. Do kolportażu angażowałem również młodszych ode mnie braci, Edmunda i Tadeusza. Sam zaś zanosilem „bibułę” do domów znajomych sąsiadów, przeważnie pracowników kolei, poczty. Bardzo często zanosilem komunikaty do ostrowskiego browaru „Hirscha” pod pretekstem odbioru piwa deputatowego. Komunikat przekazywałem Wincentemu Güntherowi, znajomemu mego ojca. Był niezwykle odważny, przy tym nienawidził hitlerowców. Jego córkę Martę schwymano i następnie skierowano transportem kolejowym do Łodzi na „rasę” (tak potocznie nazywano akcję niemieczania młodzieży polskiej). Udało się jej zbiec. Ukrywała się przez pewien czas w naszym domu. W czasie jej pobytu u nas — mogło to być w kwietniu lub maju — przyszedł do naszego domu SA-mann w towarzystwie osoby cywilnej. Ułamki sekundy, a zastały mnie przy pisaniu komunikatów. Było to około godziny dziesiątej. Dzięki przytomności mej starszej siostry, która świadoma sytuacji przetrzymała przy drzwiach wejściowych hitlerowców, zdążyłem dojść do oszklonych drzwi kuchennych, przez które zauważyłem Niemców, a oni mnie, jak nagle zniknąłem. Odskoczyłem od drzwi kuchennych, by z przyległego pokoiku ze stołu, na którym pisałem komunikaty, prawie w biegu uchwycić maszynę do pisania z częścią papieru, przenieść do pokoju sypialnego, wrzucić do kosza z bielizną i przykryć.

Z obecności w domu wytłumaczyłem się pracą popołudniową i fałszywym dokumentem. Leżąca jeszcze w łóżku Marta uratowała resztę. Zapytana, dlaczego śpi o tej porze, odrzekła, że jest zakaźnie chora. Podała również fałszywe miejsce pracy. Umiała dość dobrze po niemiecku, aby wyjaśnić sprawę, jak należy. Więcej jej nie pytali. Niemcy bali się chorób zakaźnych. Obejrzeliby więc mieszkanie i szybko odeszli. Celem wizyty był sam dom. Orowadzany cywil, Niemiec z Reichu, oglądał wskazany mu dom do ewentualnego zajęcia po uprzednim wysiedleniu nas.

Odtąd przeniósłem się na strych domku gospodarczego. Na strychu tym ojciec przechowywał siano, słomę dla kozy, kur lub królików. Siadałem w szczycie pod lufcikiem z widokiem na ulicę. Z prawej strony miałem widok na podwórze. O zaskoczeniu nie było już mowy. W podłodze przy kominie przygotowałem sobie schowek na maszynę, powielacz i papier, przez podwyższenie dwiema warstwami cegły i zamknięcie w ten sposób wolnej dotychczas przestrzeni między piecem do pieczenia chleba a sufitem. Piec ten wraz z wędzarnią mieścił się w pralni na dole. Uzyskałem w ten sposób głębokie i bardzo pojemne pomieszczenie-kryjówkę. Na strych ten przychodziłem już teraz tylko z gotowymi brudnopisami, pisałem na maszynie i powielalem. Całą drukarnię rozkładałem na długim stole.

Radio chowałem codziennie w małym drewniaku na podwórku. Była tam wkopana drewniana skrzynia, przeznaczona kiedyś do węgla. Po zakończeniu nasłuchu wkładałem radio do specjalnego worka, a potem umieszczałem je we wspomnianej skrzyni, przykrywałem następnie pokrywą, a na wierzch nasypywałem ziemi i narzucałem w końcu kawałki porąbanego drzewa. W późniejszym okresie przenosiłem radio do pobliskiej podwórzowej ubikacji przy gnojowniku.

Wiernym stróżem i pomocnikiem przy tych czynnościach była mi zawsze matka. Podczas wnoszenia i wynoszenia radia, nawet nocą, wychodziła na ulicę lub nasłuchiwała, czy nie zbliży się jakaś osoba. Czuwała też, abym nie przespał nasłuchu radiowego o drugiej w nocy. Budziła mnie wtedy słowami: „Marian, wstawaj, bo już czas”! Jej zawdzięczam prawie całe powodzenie w mojej pracy konspiracyjnej. Cicha, ciągle czuwająca, pełna wyrzeczeń, nie znała wielkich słów. Nie rozumiała czasem mojej pracy, ale odczuwała jej sens całą swoją osobowością, również wrażliwą i czułą na wszelkie dysonanse. Chciała mi zawsze pomóc na swój sposób, zawsze najlepiej. Była wielkiego serca!

Ojciec nie zabraniał mi działalności konspiracyjnej. Ale jako maszynista parowozu wyjeżdżał często na kilka dni w teren. Wracał zawsze mocno zaniepokojony, co stało się w domu w czasie jego nieobecności. Wówczas wyładowywał się na mnie gromkimi słowami: „czy skończysz z tym wreszcie, do jasnej cholery, czy nie?! Nie tylko ciebie, ale nas

wszystkich wezmą pod mur!”. Wtedy milczałem. Matka szybko podawała jedzenie. Po jedzeniu ojciec, już bardziej uspokojony, widząc nas wszystkich w komplecie, a była nas przecież piątka, pytał mnie zwykle „co nowego?”. Umiałem mu szczegółowo referować bieżące i poprzednie wiadomości. Na pewien czas miałem w nim znowu sojusznika.

Dużą pomoc okazał mi pfm. Piotr Kaj, ukrywający się nauczyciel. Tłumaczył mi na język polski komunikaty nadawane w języku francuskim, niemieckim i angielskim. W szopie, w ogrodzie swej siostry Nawrockiej, przy Drodze Krotoszyńskiej, przepisywał też moje komunikaty na małej, walizkowej maszynie. Robił to okresowo i przez krótki czas. Przekazywał je dalej swoim znajomym. O ile pamiętam, byli nimi nauczyciel Kupczyk oraz Marian Grzeszczyk z konspiracji wojskowej.

Ja sam uczyłem dzieci i młodzież w domach, do których docierałem z prasą. Niezwykle patriotyczna postawa rodziców aprobowała ich nauczanie. Ułatwiali mi pracę, jak umieli. Pilnowali dzieci przy odrabianiu lekcji. Wraz z Piotrem Kajem uczyłem przez okres okupacji przeszło 23 dzieci. Ale to odrębne zagadnienie.

Wśród odbiorców gazetek było wielu ofiarodawców pieniężnych. Ukrywali się pod wybranymi przez siebie samych pseudonimami. Uzyskane w ten sposób fundusze przeznaczałem na potrzeby rodzin polskich.

Wreszcie 1 maja 1942 r. otrzymałem od druhów wspaniałą, prawie nową, prosto bijącą (poziomo) maszynę do pisania marki „Adler”. Nadawała się do pisania przez kalkę dużej ilości egzemplarzy. Miała duże litery. Woskówka napisana na niej do powielania radowała duszę. Powielane egzemplarze były przejrzyste, ale wielkość liter powodowała, że zmuszony byłem do ograniczenia liczby wierszy z wiadomościami. Budziły natomiast zaufanie, zwiększały estetyczną stronę komunikatów. Wydawało mi się, że chwyciłem drugi oddech. Dla zmylenia uwagi i stworzenia pozorów podpisywałem niektóre gazetki słowem „Redakcja”.

Dla urozmaicenia treści gazetek, dla przypomnienia rodakom, kim są i kim powinni pozostać, wplatałem do treści gazetki wiersze autorów, przeważnie polskich. I tak w gazetce z dnia 10 IV 1942 r. umieściłem wiersz Bełzy *Czym jest Ojczyzna*, z dnia 17—18 IV 1942 r. wiersz J. Słowackiego *Biada, kto daje Ojczyźnie...* Ze zbioru poezji Romana Zmorskiego, dedykowanego „w znak braterstwa i przyjaźni” Edwardowi Dembowskiemu w 1843 r., wydanego w Lipsku u Brockhousa w r. 1866, wykorzystałem następujące wiersze: *W imionniku A.K.* i tłumaczenie R. Zmorskiego wiersza poety czeskiego Jana Kollara *Z cór sławy*. Wiersz ten był dla mnie wielkim wydarzeniem. Przeżywałem go głęboko. Pasjonowała mnie jego treść, tak bardzo na czasie. Znalazł się w gazetce z dnia 19—20—21 IV 1942 r. Natomiast wiersz *Modlitwa* (napisany dla Karola Levittoux) pomieściłem w gazetce z dnia 2 VI 1942 r. Wiersz

Seweryna Goszczyńskiego *Słowo polskie* pomieściłem z kolei w gazetce z dnia 14 VI 1942 r.

Podkreślam to dlatego, że wiersze te czerpałem z książek, które w pierwszych dniach okupacji razem z kol. Bronisławem Güntherem uratowałem od zagłady, w ostatniej chwili przed spalaniem. Ocaliłem wtedy około 200 tomów. Pochodziły z miejscowej biblioteki TCL w posesji zacnego i zasłużonego dla Ostrowa Wlkp. obywatela, Stefana Rowińskiego. Służyły mnie i społeczeństwu przez okres trwania okupacji.

Sylwetkę Romana Zmorskiego poznałem dopiero po przeszło 20 latach z opracowanej i wydanej w Poznaniu przez Wydawnictwo Poznańskie jego biografii w 1964 r. Z niej dowiedziałem się, że peta był kiedyś bardzo związany z Ostrowem Wlkp. i jego okolicami, kiedy musiał opuścić Warszawę w obawie przed aresztowaniem przez władze carskie.

Czasami włączałem się do komentarzy politycznych. Dodawałem do nich własny akcent, w zależności od nastroju i atmosfery panujących wśród otaczającego mnie społeczeństwa, jeżeli wydawało się to potrzebne.

W tym właśnie czasie, w okresie niezwykle intensywnej pracy wydawniczej, odczuwało się wzmoczoną aktywność zbrojnego podziemia. Wielu kolegów-druhów przechodziło intensywne szkolenie w tajnej podchorążówce AK. Zresztą sytuacja na wszystkich frontach poważnie się wyjaśniła. Dotyczyło to zwłaszcza frontu wschodniego, na którym oczekiwano generalnej katastrofy wojsk niemieckich w wyniku błędów strategicznych, jakie Hitler popełniał, przejąwszy władzę wojskową w swe ręce po generałach. Na zachodzie panowało w powietrzu lotnictwo sprzymierzonych. Śledzenie tych wszystkich działań frontowych oraz ich analizę mogłem przeprowadzać w oparciu o mapy niemieckie zakupione w miejscowych księgarniach. Cenne usługi przy opracowywaniu wiadomości z frontów dały mapy, szczególnie: 1) „Der Balkan”, Massstab 1 : 2 Millionen. Verlag—Valhagen—Klasings Karte in Bielefeld und Leipzig; 2) „Kriegskarte der Balkanhalbinsel”. Paul Langhans. Gotha: Justus Perthes. Massstab 1 : 1,5 Mil.; 3) Columbus-Karte — „Das Europäische Russland”. Im Massstab 1 : 5 Mil. Columbus—Verlag Paul Oestergaard K. G. Vielfarbige Karte; 4) „Nordseeländer”. Massstab 1 : 1,5 Mil. Verlag Georg Westermann. Braunschweig—Berlin—Hamburg; 5) „Indien und Ostasien mit Nebenkarte — Der Pazifische Ozean.” Massstab 1 : 10 Mil. Verlagsanstalt List—Von Bressendorf, Leipzig; 6) „Africa mit Europa — Vom Nordkap zum Kap der Guten Hoffnung”. Massstab 1 : 20 Mil. Verlagsanstalt List — Von Bressendorf, Leipzig.

Bardzo wiele korzystałem z prasy niemieckiej oraz z francuskiego „L'Echo”. Posługiwałem się nią do konfrontacji wydarzeń.

W uzupełnieniu muszę dodać, że prawdopodobnie wiosną 1942 r. H. Bigos z zespołem rozpoczął wydawanie gazetki pod tytułem „Orzeł

Białą”. Był to periodyk. Zachowało się zaledwie kilka egzemplarzy. W 1943 r., o ile mnie pamięć nie myli, zostali zdekonspirowani przez gestapo. Henryk Bigoś i Hugon Bombicki zostali zamordowani pod Łodzią. Brat Henryka, Jan Bigoś, uratował się ucieczką przez balkon na dach. Przeżył okupację. Nie znam losu pozostałych. Prawdopodobnie nie przyjęli do wiadomości ostrzeżeń, uważając, że utrudnia im się pracę konspiracyjną. W czasie mej choroby na żółtaczkę w 1943 r. zjawił się u mnie Cz. Jaś z informacją, jakoby zespół H. Bigosia był śledzony przez gestapo. Prosiłem wówczas Cz. Jasia, aby znalazł drogę do nich. Nie udało się. W tym mniej więcej czasie aresztowano również E. Niesobskiego, jego ojca i młodszego brata. Zginęli prawdopodobnie w Żabikowie pod Poznaniem.

Moja działalność wydawnicza została zakończona we wrześniu 1942 r., dokładnie rok od chwili rozpoczęcia wydawania drukowanych gazetek. W sierpniu 1942 r. otrzymałem wiadomość, że dostawca kartek żywnościowych Lenartowicz został aresztowany pod zarzutem wydawania dodatkowej ilości kartek żywnościowych Polakom. Z tych zarzutów udało mu się wybronić, ale odtąd musiał zaprzestać dostarczania mi kartek żywnościowych. Ich brak oraz przymusowe wysiedlenie z zajmowanego przez nas domu do sąsiedniej posesji w ramach akcji zagęszczania pozbawiły mnie warunków do dalszego działania. Poza tym nasilała się penetracja gestapo wśród mocno przetrzebionych Polaków. Nasłuch radiowy na częściowo rozmontowanym odbiorniku prowadziłem do końca wojny.

Ukryte przeze mnie egzemplarze gazetek postanowiłem zachować na pamiątkę. Przy pomocy Czesława Jasia i Czesława Nowickiego zapakowałem je do drewnianej skrzyni wysmołowanej od wewnątrz i zewnątrz. Wieczorem przenieśliśmy ją do ogródka Cz. Jasia przy ul. Kioszarowej i tam zostały zakopane. Przetrwały okupację. Ogółem zachowało się 77 egzemplarzy. W grudniu 1972 r. przekazane zostały Centralnej Bibliotece Wojskowej w Warszawie.